Ner 20.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 23 września 1843. Rok czwarty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, ludzież w redakcii pod nrem 301., we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 1 września 1843.

Krzyczano na modę że wymyśla, że dziwaczy i jest niestałą; zarzucano jej że nie ma zasad, że nie zważa na przyczyny i skutki, że nie trzyma się ścisłych wynikłości, że jest nie rozsądną; że nieraz wśród mrozów kazała ubierać się w gazy leciuchne, że często niską i pękatą elegantkę ustroiła w sukienkę fałdzistą i krótką, a sążnistego kawalera w długi aż po kostki kaputrok. Otoż ta zahukana i wyśmiewana moda zawstydza teraz wszystkich nieprzyjaciół swoich, i ktożby uwierzył? staje się powoli umiejętnością. Przyjdzie czas, w którym moda zajmie miejsce po wszechnicach i akademiach, jakie się jej słusznie należy. Będą ją wykładać zabici nauczyciele jak wykład na niegdyś astrologię, alchemię i filozofię słów. Aby być wtedy modnym, potrzeba będzie bardzo być uczonym, a może nawet pedantem; hoho! nie będzieto tak łatwo jak teraz, kiedy każde bajbardzo już i elegant. Zkąd się miał wziąść szacunek dla mody kiedy najtępsze osły obojej płci i wszystkich wyznań mogły być modnymi i byli niemi w istocie?

Uważaliście zapewne że od niedawna wszystko *à la rococo* jest modne, lecz nie zgłębialiście jakie to skutki za sobą pociągnie, nie dojrzeliście na jakito gościniec moda wybiegła, nie przywidzieliście, że przez to stanie się uczoną. Więc pytam was wszystkich, którzy jak najdawniejsze pamiętacie czasy, jacy to ludzie nosili się zwykle *à la rococo*, chociaż rokoko w modzie jeszcze nie było? Czyliż nie pedagogowie i różnego rodzaju pedanci i uczeni, członkowie bóg wie jakich i ilu fakultetów i towarzystw? A zatem gust ich i nauka przemagają widocznie w modzie dzisiejszej. Co więcej, rzucono się teraz do sukień *à la* gramatyk, psycholog, filozof, redaktor, dyrektor i pajaco. Fraki *à la* profesor są zwykle tabaczkowe lub jeżeli innego koloru to muszą koniecznie na szerokich wyłogach przednich mieć odrobinkę tabaki. Im więcej, tem lepiej; zważcie że wyłożenie przy fraku nauczyciela dziwnie się schodzi z jego zatrudnieniem, jakiem jest wykładanie. Otożto jest filozoficzność polskiego języka! Pomysł genialny; godzien aby przeszedłszy w modę pokrywał jak atłas lub axamit guwernantkom i guwernerom ich brzuchy i tę część szanowną ciała, która się ma do brzucha, jak Ameryka czyli świat nowy do naszego starego świata: bo ziemia jak wiadomo także okrągłą jest. Ach! cożto będzie za pociecha dla tych niezmordowanych kształcicielów rodu ludzkiego, kiedy za zrywające piersi wykłady, ogrzeją ich i pokrzepią na starość suknie wykładane. Co więcej, ku ich wygodzie łączy się teraz moda ze sztuką lekarską. Widzieliśmy już u pana *Piné* gorsety bardzo na dychawice skuteczne i od suchot zabespieczające. Czynią one przytem kibić równą, gładką i zaokrągloną: gdyż wyrównywają wszystkie zapadnięcia, skrzywienia, dolinki i garbiki wypchaniem z ziółek i mchu islandzkiego. Rośliny te wyglądają przytem zdrowo jakby zerwane niebyły, jak gdyby rosły zawsze na swoich ojczystych dolinach i wzgórzach. Cożto za porównanie tego uczonego gorsetu godnego łona najpierwszej tanecznicy i śpiewaczki do owych dawnych piersi ściskających i obdarzających chrypką a często nawet suchotami? Nierównie jednak ważniejszym jest wynalazek spodnic i spodni zabespieczających od bolu żołądka. Tajemnica z resztą bardzo pojedyncza; są one watowane plastrem melotowym z dodatkiem mięty pieprzowej i kieliszeczka araku. Niezadługo najmodniejszy surdut będzie maleńką apteczką, najlepszemi znawcami i prawodawcami mody będą doktorzy, a dzienniki mód najistotniejszemi recep-

tami. Jeżeli tedy i nasz dziennik poda czasami receptę dla słabych moralnie, czyni on tylko zadość przeznaczeniu swojemu i mówi tylko o modach.

PRZEZ ULICĘ.

Obraz fantastyczny.

1.

O godzinie duchów cicho było a ciemno w mieście! ulice puste skąpemi latarniami oświecone wyglądały jakby chodniki pieczar podziemnych; w górze jak skaliste sklepienie ciemne wiszą chmury; a w nich niekażdemu oku widzialny przez całe miasto rozciągnięty kobierzec tkany arabeskami sennych marzeń ludności miejskiej — kłótnia barw i odcieni z jakich się składają sny tylu tysięcy namiętności i myśli uspionych między wczoraj a jutro!...

Odbił się raptem chód po bruku, echem rozbiegł się po pustych ulicach; ciemnym paletotem owinięty z ulicy w ulicę błędnym szedł krokiem młodzieniec; długie i jasne rozrzucił włosy na głowie, a okiem pełnem życia młodego, w górę wzniesionem zdaje się szukać! czy uczucia chce się pozbyć, czy za myślą goni? może cudzoziemiec stracony w nieznanem sobie mieście szuka drogi? zajrzał światło które z daleka z ciemnej buchało ulicy; kroku przyspieszył, i stanął: po jednej stronie ulicy dom z którego okien pierwszopiętrowych przez pąsowe firanki płonie światło jakby pożaru; po drugiej stronie dom zaciemniony brakiem świateł i żaluziami zasuniętemi; jedno tylko okno na pierwszem piętrze z otwartemi żaluziami odbija jaskrawe drugiego domu światło. Czy dojrzał światło niewiedzieć, ale oko utkwił nieruchome w ciemnego domu to jedno odsłonięte okno.

Nowe słychać stąpania; spokojnym krokiem zbliżyło się dwóch mężczyzn; z poźnej kawiarniowej snać wracają zabawki: w obojętnej bowiem rozmowie rozpamiętują ostatnie zjawienia ostatniej partii bilarowej. Światło o tak poźnej godzinie, i człowiek stojący z oczami do góry wzniesionemi, czyż nie dosyć dla dwóch ciekawych miasta mieszkańców, by się za trzymać?

— Ile mi się razy zdarzy, rzekł jeden, poźno wracać do domu, zawsze światła w tym domu.

— I ja to nieraz uważałem; ale jak cicho w oświeconym domie; to dziwna! Mówią między sobą, a głosem donośniejszym chcieliby zwrócić uwagę stojącego młodzieńca, którego postawa nieruchoma więcej ich obchodzi niżeli ciche oświecenie; lecz ten nie ruszył się z miejsca, ani nawet spojrzał na nich.

— Za cicho na bal lub inną zabawę, a za jasno na nocny spoczynek; pan nie wie kto tu mieszka? rzekł jeden z kawiarniowych gości do drugiego.

— I owszem wiem z przypadku że tu mieszka pan O**.

— Pan O**! z Napoleona jeszcze czasów; za stary na tak poźne zabawy.

— On stary! gdzie tam! przeciwnie żywy i fertyczny brunet.

— Pan O**! ozwał się młodzieniec, tu mieszka naprzeciw tego ciemnego domu, naprzeciw tego okna?

— A tak! pan go zna?

— Ja? tak! to jest nieznam go osobiście, ale nie jest on nizkiego wzrostu, brunet z żywemi czarnemi oczyma?

— Tak! to on będzie!

— Więc tu mieszka.... tu! i zamilkł młodzieniec w paletocie.

— To pan! bogacz! mówi jeden. — Gdzież tam! goły! mówi drugi. — Zkądże codzień tak rzęsiste oświecenie? — Tego i ja nierozumiem! — Może chory? że tak cicho. — Może literat, pracuje po nocach. — Wątpię! nie podobny on do tego.

Od chwili już rozlegał się z końca ulicy huczny głos choć nieco zachrypnięty; niepewnym, tańcującym prawie po bruku chodem zbliżał się nowy nocny wędrowiec, a spiewał co mu tchu stawało:

Czy to dzień, czy to noc!
Zawszem wesół, zawsze pjan!

Zbliżył się do stojących i usłyszawszy z rozmowy o co rzecz idzie, odezwał się: — Ale gdzie tam! ja go znam, to mi pan, tęgi pan! niema wioski, niema grosza intraty, a płaci jak graf; ja jemu bóty robię; gdzie jemu chorować, gdzie jemu pisać, chyba do kochanek: bo on panie jak ja... i dobywszy głosu potężnego walił dalej:

Gdzie dziewulę zobaczę
Zaraz lecę do niej w skok!

Oczywiście pije sobie; a trzeba wiedzieć moi panowie że to najlepszy czas, i jabym pewnie dotąd nie był wyszedł z pod trzech zajączków, gdyby nie ta warta!

— To ona! wykrzyknął młodzieniec patrząc w okno, w którem rzeczywiście przemknął w tej chwili cień jakiś kobiety w bieli.

— To ona! powtórzył wesoły rzemieślnik; ale to miejska warta; znam tego kwartalnego; bardzo godny człowiek! codzień prawie odprowadza mnie do domu.

— Widząc zbliżającą się wartę nocną rozeszli się goście kawiarniowi, poszedł spiewak nocny, i młodzieniec w paletocie raz jeszcze ogniste rzuciwszy spojrzenie ku oknu, z którego biały cień już znikł, odszedł do domu domarzyć koniec powieści, której początek wzbudziły w młodej głowie duże czarnych oczów gwiazdy, postrzeżone na spacerze... w teatrze. Pytanie o cichem oświeceniu pomieszkania, nieodgagnionego O** zostało nieroztrzygnione.

A zatem używając przywileju właściwego wszystkim powieściarzom wejdźmy do tego pomieszkania, a może poznamy pana O**.

2.

A ponieważ niektórzy psychologowie twierdzą, że człowiek każdy najłatwiejszy do poznania w rannej jest porze, póki szaty udania, którą nocny zdarł spoczynek, nie wdzieje na nowo; tem więcej mieszkańca miasta, który chyba z łóżka wstawszy samym sobą być może, a później już tym, którym go położenie jego towarzyskie i jego zrobią potrzeby, w przedobiednich godzinach odwiedzić należy. Owoż ranek dla pana O** zaczyna się o dziesiątej; o tej porze już wyszedł z łóżka, już ręką zgrabnego kamerdynera w ranne przyodziany szaty, w wygodnym fotelu usadowiony, po wonnej moce wonniejszego smoli turczyna z hebanowego cybucha o czerwonej koralowej głowie. Gdybyśmy mogli, a raczej śmieli odkryć tajemnice sypialni kamerdynerowi tylko znane, przekonalibyśmy się że już od czasu obudzenia znacznie zmienił powierzchowność swoją: albowiem prócz szlafroka kaszemirowego w wielkie jaskrawe palmy, prócz pąsowej chustki fularowej na szyi, prócz mycki złotem tkanej lekko rzuconej na krucze włosy, wdział on na siebie i owe czarne włosów kunsztownych pierścienie, białość wąsów i brwi poczernił, a śniadość pomarszczonej twarzy pobielił i wygładził, sine porumienił usta, by lepiej odbijały od dwóch rzędów perłowych zębów, które przez noc swobodnie w pudełku spoczywały. Gabinecik buduarowy, w którym pan O** siedzi przed machoniowym staroświeckiego kształtu biórem, napełniony jest różnorodnemi przedmiotami noszącemi cechę wykwintnego gustu pańskiego, i zapewne pańskich dochodów: bo są srebra na toalecie, są i kryształy; jest w kącie stolik ubrany w cybuchy różnej wielkości, same antypki z drogiemi bursztynami; w drugim kącie stoliczek ze świecidełkami, którychby się pierwsza stolicy dama nie powstydziła; pamiątki szyte, haftowane, malowane, a nad niemi jakby nad ołtarzem godnym siebie wisi kilka miniatur, z których same piękne kobiece uśmiechają się twarze. Na biórze w kształtnym bezładzie leżą xiążki i żurnale, obok tabakierek kilku, których najmniejszą ozdobą jest sztucznie rznięte złoto, ale są w nich mozajki, drogie kamienie i droższe malowidła. O** siedzi zamyślony, a przed nim rozwarty pulares cyframi zapisany, świadczy że do porządnego przyzwyczajony życia, co ranka przegląda finansowy swój budżet; nie zdaje się być kontent z niego, jeżeli wierzyć smutnemu zmarszczeniu brwi, które na przekor sztuce daje wyraz starości odmłodzonej twarzy. Gwałtowny kłąb dymu wypuścił, przewrócił pulares, i z drugiej jego strony dobywszy kilka banknotów rachował je po kilkakroć, jakby niewierzył sam sobie; poruszył srebrnym dzwonkiem; wbiegł kamerdyner.

— Jest kto w przedpokoju?

— Jest chłopiec ze sklepu korzennego, i Abramko...

— Dla czegoż razem? Chłopiec niech wnijdzie, a Abramka wysłać gdzie; za kwandrans niech przyjdzie; rozumiesz? a teraz nikogo nie puszczać, chyba pana Z*.

Po chwili wszedł chłopiec z rumianą i głupią twarzą, a woń korzeni wbiegła z nim do pańskiego buduaru. O** zerwał się z siedzenia swego, pocisnął sprężynę w biórze, i z wysuniętej kryjówki dobył jedną, drugą, i trzecią paczkę. »Masz tu moje dziecię, słodziutkim ozwał się głosem, już są gotowe!« Chłopiec za każdem słowem nizko kłaniając się powtarzał: dobrze jaśnie panie!...

— Kłaniaj się panu! czemu sam nie przyszedł?

— Strasznie zaaferowany jaśnie panie!

— No dobrze! bierz schowaj to! niepotrzebujesz tego nieść tak przez ulicę, aby wszyscy widzieli.

— Rozumiem, jaśnie panie! odrzekł chłopie, probując dowcipnego uśmiechu, i paczki zawinął w wielką bawełnianą kratkowaną chustkę.

— A powiedz swemu panu, żeby uważał lepiej, i drugi raz nie zrobił takiego głupstwa jak onegdaj; gdyśmy grali u prezesa, który przecie z mojej rady u niego kupuje, przyniesiono jakieś karty, zupełnie mi nieznane, których, uważasz! ja niechcę: bo hofmańskiemi tylko kartami grać lubię, i dla tego każę je do siebie przynosić, aby się przekonać, rozumiesz mój maleńki? te tylko są zgrabne, tamtemi grać niepodobna. No idź mój chłopczyku! i jedną ręką pogłaskał tłuste chłopca policzki, a drugą z kryjówki dobytego wściubił mu dukata. Uśmiechnął się chłopiec, ukłonił nisko, a odchodząc długo rzucał dukatem w ręku, jakby go ważyć chciał; snać nigdy jeszcze takiej nie widział cienkiej blaszki.

Po kwadransie wszedł Abramko, niski żydek

z lisią bródką, a krogulczem spojrzeniem. Ofuknął się pan O**, wyprostował krótką swoją figurkę, której nie mało dodawał powagi, choć ukrócał jeszcze wyrastający brzuszek dobrego bytu świadek. — Ja pieniędzy potrzebuję! a ty sobie kpisz, chodzisz, pleciesz, kłamiesz, szachrujesz, a pieniędzy jak niema tak niema.

Nie wielce zdawał się być żyd przestraszony; ciekawem tylko okiem rzucił na otwarty pulares, i w odemkniętą kryjówkę, którą w tej chwili O** zatrzasnął. Ja myślałem że jasnemu panu poszczęściło się.

— I cóż z tego?

— No! to może pieniędzów nie potrzeba, a możeby i jasny pan oddał co się mnie należy, bo dłużej już czekać nie mogę.

— Przestań już! mniej grożącym ciągnął głosem jasny pan.

— Ale bo i mnie już czekać niechcą; ja ręczyłem za jasnego pana u G* za taka wielka summa.

— No! no! dajmy temu pokój dzisiaj mój Abramku! słodszym daleko głosem mówił udobruchany O**; jestem zmęczony, słaby!

— Jasny pan codzień z rana lepiej wygląda, jak róża z przeproszeniem!

— Mnie dziś gwałtem potrzebne pieniądze.

— A wiele? odpowiedział Abramko, i skrobnąwszy się w brodę, badawcze rzucił w koło pokoju spojrzenie, aż nim spoczął na świecącej srebrnej miednicy z pozłacanym kubkiem.

— Pięćset reńskich!

— Aj! aj! aż dwieście w srebrze.

— Nie udawaj durnia mój Abramku! pięćset reńskich w srebrze potrzebuję.

— To trudno! ja nie mam; już tę trochę kredytu co miałem, przez jasnego pana straciłem; już mi teraz nie dadzą i na sześć procentu miesięcznie.

— Słuchaj Abramko! ty mnie znasz; ja dobry człowiek, ale trochę niecierpliwy; jak mnie znudzisz, to już ja cię z domu wyproszę, a pieniędzy znajdę bez ciebie: Moszko dawno się prosi do mnie.

— Ach Moszko! ten łajdak! ten drab! won siedział w kryminale!

— Przestań gadać daremnie! słyszę że ktoś idzie; w południe abyś mi przyniósł koniecznie pięćset reńskich i basta!

— A jak jasnemu panu będzie znowu się nieszczęścić?

— Zrób co każę, i idź precz! rozkazującym rzekł tonem.

— Dobrze! dobrze! jasny panie grafie! odpowiedział uniżenie żyd.

— Dzień dobry kochanemu panu! ozwał się głos z otwartych podwoi.

— Dzień dobry! dzień dobry panie Janie!

Po wyjściu żyda rzucił się na sofę trochę wyższy, ale znacznie grubszy od O**, nieco łysawy nowo przybyły jegomość w rajtroku i z grubą trzciną w ręku. »Zmęczyłem się! każ dać lulek, cygarów!« a zapaliwszy cygaro rozparł się pan Jan Z* wygodnie na sofie, a szylkretowym grzebyczkiem, skąpe i siwiejące już włosy naciągnął na czoło, na którem jak i na twarzy i w oczach, było więcej zmarszczków i wieku, niżeli wyrazu jakiego.

— I daremnie?

— Najdaremniej w świecie! goniłem za tym drągalem jakby z sikawką na pożar; i w cukierni i w kawiarni, wczoraj w teatrze, dziś w sklepie i na rogu przy afiszu, ale powiadam ci jak prawdziwy żołnierz i z frontu i z flanku atakowałem: pozostał nieporuszony; jakby Anglik tak! lub nie! krótko odpowiadał i nie tylko mnie to spotkało, namowiłem Ż**, P*, i M*; owoż przed godziną zeszliśmy się w rynku; daremne były ich zabiegi, żaden z nich nie zdołał w najmniejszą wprowadzić rozmowę tego drabanta Ż** pognał za nim do łazienek, lecz wątpię by co wskórał.

— To źle, bardzo źle! od niejakiego czasu idzie nam wszystko jakby z kamienia. I z tym twoim kuzynkiem...

— A to odrodny! odszczepieniec! nie wspominaj mi o nim! Nie gra, nie pije! lata jak szalony po górach, skałach i innych głupich ideałach! czyta jakby mnich! i pisze coś ciągle jak praktykant jaki! szkoda tego ogromnego majątku, którego sam użyć nie umie, a od rad moich stroni.

— Mniejsza o jego majątek! chętniebym go wam odstąpił bez najmniejszego udziału, ale....

— Przechodzi drogę panu!... kobiety!... to jego rzecz! otoż i Ż*!...

— No i cóż? zawołali do nowo przybyłego mężczyzny średniego wzrostu i wieku, na którego twarzy jasnej, pożółkłej od wieku i słabości, a rudemi plamami nakrapianej, rozlany jest wyraz równie prawie nijaki, jak u tamtych, gdyby czasem z oczów siwych nie strzelał wyraz chytrości więcej złośliwej niżeli dowcipnej.

— Nic! zgoła nic! wyparzyłem się z nim w parnej kąpieli; omal nie udusiłem się; podawałem mu gąbkę, ręcznik; rozpowiadałem o Odesie, Kijowie, morskich kąpielach i krymskich dziewczętach, — jak groch o

ścianę! tak! nie! dziękuję! więcej nic! a do tego uśmiech; powiem wam uśmiech niech mnie diabli wezmą szatański!

— Prawda! prawda! spojrzenie jego i uśmiech jakby jadem tofany napuszczone... jak diabła Suliego!

— Ha! ha! roześmiał się O**; całą powieść fantastyczną ułożycie z jednego spojrzenia. Więc niema sposobu? i nikogo tu nie zna?

— Ale! ale! zapomniałem wam powiedzieć; widziałem go wczoraj chodzącego z D**.

— Z D**?

— Z D**? powtórzył zadziwiony O** i zamyślił się; to dobrze! bardzo dobrze! już on nasz!

— Ale D**! to romantyk; marzyciel niebiesko migdałowy!

— Śmiejcie się! D* jest mój; mam go w kieszeni!

— Nie zazdroszczę jej tak gołego ciężaru!

— Nie traćcie czasu, idźcie! M* i P* zaproście na obiad do mnie, i sami przyjdźcie; ale, ale, dla przyzwoitości zaprosić wypada grubego i piskliwego M**; nie przeszkodzi, tyle widzi co kret!

— Przytem nieszczęśliwy w grze, a płaci, i ma czem płacić! a będzie nam parawanił tą razą.

— Jeszcze jedno! dodał Ż* na wychodzie; ten graf S***, ile zmiarkowałem, gdym mówił o klubie angielskim w Odessie, nic mi nie odpowiadał, ale przysięgnę wam że kozak, i to kozak pierwszej giełdy.

— Kozak! mniejsza o to przyjaciele moi. Złapał Kozak Tatarzyna, Tatarzyn go niechce puścić! Po odejściu gości, pan O** przeszedł się kilka razy przez pokój; głębokie zamyślenie, które zwykle najpowszedniejszą twarz rozpromienia szlachetniejszym wyrazem, zdawało się kurczyć twarz jego, gwałtem odmłodzoną wyrazem niskiej wiekiem ukorzenionej podłości; z oczów tylko ciemnych które niegdyś wyraziste, a nawet piękne być musiały, strzelał czasami wyraz migotny, który z pod gęstych brwi łyszczał prześlizgającym się gadem. Stanął przypadkiem koło okna, które pąsowa firanka do większej połowy zasłaniała, spojrzał, odchyliwszy nieco zasłony, przez ulicę ku oknu przeciwległego domu; rysy twarzy przeciągnęły się do uśmiechu, usta wydęły się w dół; O** podobny był w tej chwili do starego Satyra; uderzył się po czole jakby mu myśl nowa przybyła, lub starą odegnać żądał, szybkim przyskoczył krokiem do bióra, napisał kilka słów na welinowej czwiartce, i jakby mu się pilnie działo sam wyniósł napisany bilecik do przedpokoju.

Jeżeli dotąd nie poznaliśmy O**, już go po powrocie nie poznamy, widocznie bowiem wdziewał pomału a z namysłem ową szatę udania, którą się każdy przez dzień obleka, i poważnie, skromnie, a bez przesady, nie z fertycznością młodzika, ani też z ociężałością starca, jakby czterdzieści lat ledwie minął, usiadł na sofie, wybrawszy poprzednio xiążkę, którą otwarłszy na los szczęścia wziął w rękę i przed oczy postawił, a wyraz wczytania się osiadł na twarzy rozpromienionej miłym i słodziutkim uśmiechem. Po niedługim czasie oznajmił kamerdyner pana D*, i wszedł mężczyzna, którego cała postawa i wyraz twarzy w zupełnej były sprzeczności z postawą i twarzą O**.

Było to człowiek atletycznej budowy, jakby z olbrzymiej skały wykuty; jakoż miał coś posągowego, w zarysach szeroko zakrojonych tak postawy jak i twarzy. W postawie widać zdrowie i siły młode na wiek cały wyrachowane, i na twarzy widać młodość, lecz koło ust pełnych jeszcze, mimo rzęsistych jasnych wąsów, są ślady cierpień licznych i głębokich. I oczy znać że były niegdyś błękitne jak niebo, póki je chmury popołudniowe nie zaćmiły; na czole szerokiem i otwartem widać myśl której darmobyś szukał pod czarną O** peruką; nie myśl maska z jaką się nieraz zdybiesz w mieście, ani też myśl polip głęboko wkorzeniona w mózg, ale myśl łyskawica, która przemawia ciągle zmieniającym się hieroglifem zmarszczków czoła. Jak powiadam wygląda jak posąg, wykuty dla dawnych wieków, ożywiony duchem dzisiejszego wieku.

Z otwartemi rękoma, z których wyleciała jakaś Kraszewskiego powiastka, poskoczył O**, i uściskał zimno witającego pana D*. »Daruj drogi!« miodowym mówił głosem, że cię fatygowałem do siebie; a ściskał serdecznie za ręce; — ale przyjacielskiej twojej a rozsądnej potrzebuję pociechy.

— Pan odemnie pociechy?

— Dziwisz się, bo mnie nie znasz dobrze jeszcze; ja żyję w świecie, jak już raz żyć muszę, ale są dla mnie ciężkie godziny w których płocha miejska rozmowa, zimna nawet xiążka nie wystarczy aby wypędzić czarne myśli.

— Czarne myśli? powtórzył z zadziwieniem... i w czem ja...

— Ty kochany Józefie! przebacz tej poufałości, możesz wiele dla mnie swoją rozmową, która może stać się arfą Dawida dla Saulowych myśli moich.

— Zadziwiony spojrzał na O** pan Józef, wypatrzył oczy nierozumiejące, i to tylko zrozumiał, że głęboki musi być smutek, który zdołał tak postarzeć, jakoż zgrzybiała wydaje się twarz O**, zeszpecona

ciągłem krzywieniem się. »I zkąd takie myśli przy wesołem życiu?«

— Życie wesołe! i tyż, który tak pięknie i głęboko cudze opisujesz uczucia i myśli, nie możesz zrozumieć że życie wesołe jest najczęściej maską, a pod nią!...

— Cóż ci brakuje panie? powiedz! prawdziwie nie rozumiem; masz zdrowie, wesołe usposobienie, dostatki...

— Dostatki! czy znasz panie Józefie mój budżet, rzecz dziwna jak dziecinnie łatwowierni są ludzie głębszym nad codzienne myślom oddani. Mój drogi! a przytem tragicznie sapnął zasępiony O**; bankierowie zwykle najdroższe i najwytworniejsze dają zabawy w wilię bankructwa.

Zbladł jak chusta pan Józef. — Miałożby być tak źle z panem? — O** milczał, a oczy nieruchome utkwił w woskowaną posadzkę.

— Toby było okropnie! i milczenie i nieruchomość ta sama. »A ja prawdziwie, ciągnął dalej jąkając się pan D*, właśnie teraz jestem w niepodobieństwie uiszczenia się z długu, ale będę starał się.

— Dajmy temu pokój odrzekł O** westchnąwszy jakby się obudził ze snu magnetycznego; znam twoje okoliczności, i chociaż każda najmniejsza kwota wiele stanowi dla mnie, a nawet podobno przyrzekłeś mi w tym czasie oddać to, co ci tak chętnie pożyczyłem nawet bez żądania twego.

— I to właśnie co mnie zgubiło; pożyczałeś mi pan na tę przeklętą grę, w którą tyle, tyle już przegrałem!...

— Rób jak ja, niegraj gier hazardowych, i ja grałem, ale nauczony doświadczeniem; bo też mam ginion niepraktykowany.

— To być może, ale ci panowie, jak się tam oni zowią, przyjaciele czy znajomi pańscy mają szczególne szczęście.

— I czy nie pamiętasz, kiedy termin owego wexlu, który ja za ciebie ręczyłem?

Jeszcze gorzej zbladł pan Józef. »Jutro podobno! i to poszło w karty! Panie! zapewne doświadczyłem wiele przyjaźni od ciebie, ale tyś we mnie obudził tego szatana, który zadrzymał, jedna namiętność więcej! Panie! ty nie znasz całego położenia mego.

— Mówmy o czem innem, ten przedmiot, i mnie i ciebie zasmuca; z resztą co się tycze mego długu i tego wexlu, nie troszcz się! znajdziemy może sposób ułatwiający wszystko.

— Sposób! jaki?

— To na potem! od przyjaciela przyjm tylko jedną uwagę, narzekasz na grę, zapewne przegrałeś w tych czasach niemało, ale wierz doświadczyńskiemu; ty miewasz weny szczęścia niewidziane; ja ci nawet przepowiadam kiedyś ogromną wygranę, ale, ale, dla czegoż tracisz pieniądze dla dogodzenia. — Spojrzeli po sobie! O* oczy choć ciemne uciekły przed ognistym wyrazem oczów jasnych. — Jak mówiłem, mówny o czem innem; widziałem cię wczoraj z wysokim a chudym drągalem, który dziwnie zabawnie odbijał od ciebie.

— A to znajomość z Odessy.

— Nazywa się?

— Graf S***!

— To ma być bogacz wielki?

— Podobno.

— I gra w karty jak słyszałem od M*; ot! wiesz co! popróbuj raz jeszcze szczęścia! jak myślisz? — Uważnem i budzącem się okiem spojrzał pan Józef na O**. »Mnie się zdaje że to myśl szczęśliwa! u ciebie nie można, ale zaproś go do mnie; dziś na obiad przyjdźcie, będzie u mnie M*, i parę osób jeszcze; kilka dobrych przejść w diabełka, a i dług i wexel i tracenie ulubione!...

Spojrzał po raz wtóry pan Józef na O**; widać z jego oczów że nie tak dziecinnie łatwowierny jak się zdało O**, a może, czysty marmur posągu pobratał się z łatwo przystającem błotem: po chwili spuścił oczy w dół i półgłosem rzekł: »Ja niemam pieniędzy do gry.

— To najmniejsza! tyle jeszcze znajdę dla ciebie.

— Możeby to panu przyszło z trudnością?

— Mniejsza oto! już ja się postaram, a potem, jeżeli jak mam przeczucie poszczęści się tobie, mogę być w spółce z tobą, to i mnie poratujesz. Nie myśl długo! idź! już dwunasta, o drugiej czekam z obiadem; po dobrem winie zagramy, a kto wie jak wesoły będzie wieczór dzisiejszy.

A gdy odszedł pan Józef D*, odetchnął O**, i mruknął sobie pod nosem. »Przeklęte oczy tego grubasa, nieśmiem zupełnie szczerze z nim pomówić; hołysz, a hardy! i niby cnotliwy, a za pieniądzmi aż się trzęsie!... Tfu! głupiec!

Pan D* zaś idąc po schodach mówił do siebie.

— Co ten szatan chce odemnie; pistolet, pistolet pcha mi do głowy!

Ledwie pan O**, miał dosyć czasu przebrać się i zakończyć finansową pogadankę z starozakonnym, a już przybyli poufalsi; dwóch znamy już, a panowie P*, i M** mało się od nich różnią, młodsi tylko, osobliwie M**, z twarzą, na której ledwie mech młodzieńca ustąpił przed wąsem męża, a już poorana przedwczesnemi zmarszczkami, a już oczy pomęczone

jakby licznych nocy bezsennością: z resztą wyrazy wszystkie powszednie, ugrzecznione salonowem ukształceniem, które i ciało i duszę odziewa w szaty na modny zwyczajowy krój uszyte. Ledwie czasu mieli kilka słów pomówić.

— Graf S*** będzie! — Będzie? — Będzie? — A więc jak zawsze? — Oczywiście!.. Spuszczam się na waszą uczciwość!..

— O! słowo honoru! jak najściślejsza współka!

— Tylko *mon cher!* dodał M* do P*, staraj się być zgrabniejszym niż u prezesa onegdaj, gdyby nie moja przytomność umysłu...

Wtem nadszedł pan M**; poczciwe jakieś panisko wykarmione i wesolutkie; istna karykatura D*; podobny wzrostem i otyłością, a nawet i twarzą równie szeroką i jasną, tylko barwą więcej śniadą a wyrazem powszednim przypomina różnicę gliny i marmuru! Wkrótce nadeszli pan D* i graf S***.

Ciąg dalszy nastąpi.

Zamek w Normandii.

Dokończenie.

Obydwie kobiety przepędziły noc całą na rozmowie ale bardzo cichej, bo wszystko ich straszyło w tej obszernej samotności; echo nawet ich własnych głosów przerażało je nie mało: starannie zamknęły drzwi od pokoju, i otworzyły dopiero nazajutrz, gdy żona dozorcy zamkowego przyniosła śniadanie. Smutny był dzień, i jeszcze posępniejszy od wczorajszego; czas stawał się coraz okropniejszy; wściekła była burza: skała na której zamek był zbudowany, trzęsła się tłuczona bałwanami, które nie przestawały rozbijać się o nią. Za każdem uderzeniem wzdrygała się Amelia, za każdem zadęciem wiatru, który roztwierał drzwi źle zamknięte, przypominała sobie swoje prześliczne pomieszkanie w Paryżu na ulicy Anżu, i łza gorąca spadła po jej licach na wspomnienie tego opuszczenia i tej samotności, które ją przejmowały mroźnem cierpieniem.

— Mój boże! mówiła do Anusi, po co przyjechałam do tego nieszczęśliwego miejsca?

Anusia nic nie odpowiadała, ale chcąc rozerwać swoją panię skoro się dzień zaczął poleciała wszędzie z lekkością dwudziestoletniej dziewczyny; żywa i wesoła latała póki trwał dzień jeszcze i oświecał stare mury zamczyska, zapuszczając się z odwagą w najodleglejsze zwaliska, mimo tego wszystkiego co jej stara dozorczyni opowiadała. Były to długie powieści o duchach, zjawiskach; i Anusia która się tylko żywych obawiała, powtarzała je rozwlekle przed panią swoją; a dla pokazania jak jest odważną, przebiegała co chwila wszystkie zakąty zamku, i wracała nazad by w celu rozerwania poprowadzić ją, i pokazać, to starą zbroję zapomnianą w rogu krużganka, to stary strupieszały sprzęt jaki: Amelia z początku przez uprzejmość chodziła z nią, ale po obiedzie czując się zmęczoną odmówiła dalszych wycieczek po zamku. Tą razą więc sama Anusia pobiegła zostawiwszy panią siedzącą przy kominku w głębokiem zamyśleniu.

Zmierzchło się już zupełnie. Amelia niespokojna o Henryka, który nie wracał, z bolem myślała o różnicy jaka jest między tą smutną rzeczywistością, a tem marzeniem uroczem, dziełem dziewiczej wyobraźni. Sama teraz w starym zamczysku, daleko od swoich, od przyjaciół, opuszczona płacze... gdy pomału otworzyły się drzwi i powoli zbliżył się ktoś do niej, którego od razu nie poznała: byłato Anusia. Przy świetle ognia kominkowego, który ledwie oświecić zdołał obszerny ten pokój, postrzegła Amelia z przestrachem bladość na twarzy młode dziewczyny; drzała ona, i ledwie mogła się utrzymać na nogach.

— Zginęłyśmy pani, rzekła nareszcie padając na krzesło; jeżeli nie wyjedziemy zaraz do Paryża.

— Cóż to jest? zapytała Amelia.

— Cicho! i przyłożyła Anusia palec do ust; oglądając się czy nie ma kogo za nią, potem zbliżywszy się jeszcze do pani swojej dodała, ale bardzo cicho:

— Czy chce pani wiedzieć gdzie jest pan hrabia, i co robi?

— Chcę! zawołała Amelia, prowadź mnie tej chwili; chodźmy! — I ciągnęła za sobą młodą dziewczynę.

— Tylko chwilkę cierpliwości, rzekła Anusia.

I zapaliwszy świecę, schowała ją za rękę, i powiedziała do pani by szła za nią. Prowadziła ją przez obszerne sale, walące się krużganki, opuszczone pokoje; przybyły nareszcie do małego pokoiku w którym Anusia zostawiła świecę. Potem idąc przez dwa schody prowadzące do ciemnego zupełnie gabinetu, w którym równie jak i w innych pokojach jakie przeszły żadnych nie było sprzętów, Anusia stanęła na palcach koło otworu wyciętego w murze tego pokoiku, i przywołała swoją panię, by także tamtędy zaglądnęła.

Amelia z początku nie mogła nic dostrzedz z tego co się pod nią działo. Byłto rodzaj dziedzińca krytego, napełnionego pakami, skrzyniami; broń powiązana razem stała w kącie tej sieni, żagle okrętowe, i wielka chorągiew wisiały na suficie, poruszane od wiatru, który wchodził do tej sali niezmiernej mimo drzwi z deszczek pozbijanych, które ją zasłaniały. Ze sto świec rzucało tak żywe światło, że w pierwszej chwili Amelia olśniona blaskiem, niczego rozpoznać nie mogła: ale pomału oczy jej przyzwyczajając się do światła, zaczęły rozróżniać przedmioty znajdujące się pod nią, i najprzód widziała te paki, te skrzynie, żagle i chorągwie. Ale głośny hałas, który dawał się słyszeć pod nią, chociaż niewiedziała jeszcze co go sprawia, wzbudził w niej większą jeszcze ciekawość. Raptem jasna światłość uderza jej oczy, a do uszów dochodzą głośne okrzyki, Postrzega nareszcie Amelia pod sobą ogromny stół na środku tej sieni postawiony; a w koło stołu siedzi najmniej stu ludzi błękitno ubranych, w sukniach i kapeluszach majtków *). Byli pomiędzy niemi i inni ubrani jak wieśniacy francuscy; pomiędzy temi poznała Amelia owych dwóch ludzi z wioski nadbrzeżnej, których Henryk zdawał się znać w czasie ich wycieczki morskiej. Nareszcie oczy jej oswojone przebiegają wzrokiem cały stół po drugi raz, zdybuje tam twarze dziwne, dziwne ubiory, ale nic takiego, coby usprawiedliwiało powód jaki ją tu przyprowadził. Miała już zejść z swojego miejsca i spytać Anusi, co jej chciała pokazać, kiedy raptem wydała krzyk przytłumiony; oczy jej zdybały przedmiot... ale nie, to być nie może... Boże wszechmocny! to nie może być Henryk, jej Henryk tam pomiędzy temi nędznikami: wyjący w szaleństwie przepicia, przeklinający najświętsze nazwiska. Lecz nie może już wątpić, tak jest to Henryk, to on sam. Boże wszechmocny! siedzi na podniesionem miejscu ubrany jak oni a nawet przewodniczy im, dzieli ich rozpustę, przewodzi hulanką! jest nareszcie jednym z tych, których Amelia ma przed

*) Kamizelka niebieska, kapelusz ceratowy.

oczami. Pół godzinny może stała jakby przykuta do tego nieszczęsnego okna, gdzie ją przeznaczanie przywiodło. To co widziała, co słyszała, przekonało ją niestety że to nie sen, ale rzeczywistość żywo do niej się wyszczerza! Uczucie jakiego doznała, było takiego rodzaju iż mniemała z początku że umrze widząc Henryka, tego człowieka którego kochała, tego człowieka, którego nazwisko nosi, przewodniczącego biesiadzie rozbójników! zachowującego dla tych ludzi uśmiech swoich ust, radość serca swego, tak jest, Amelia sądziła że umrze. W chwili gdy chciała porzucić już to okno, które jej pokazało całe jej nieszczęście, kilka tylko głosów usłyszała

— Naczelniku! trzeba będzie nie mało pieniędzy do tego przedsięwzięcia, rzekł jeden z tych ludzi nadbrzeżnych do Henryka. — Będę je miał, odpowiedział Henryk. — Ale jak? — O co ci idzie? będę już miał. — Tak jest, tak jest! powiedział jeden z tych ludzi, to się rozumie... I zrobił poruszenie jak gdyby się zmierzał do kogo. Wzdrygnęła się Amelia, opuściła nareszcie to miejsce przeklęte, i wpółumarła ze strachu powróciła do swego pokoju. Około północy, wrócił Henryk z podróży. Zdawał się być znużony, i mniej był czuły dla żony; ale ledwie godzina minęła, już ta oziębłość mniej była znaczna. Nazajutrz wyruszył znowu. W czasie tejto jego niebytności ułożyła Amelia plan z Anusią, który ta wypełniła. Amelia napisała do hrabiny że trzeba aby zaraz po odebraniu listu tego, wysłany był posłaniec z Paryża, któryby po nią przyjechał do C, opisała przytem drogę z taką starannością iż się nie mógł omylić. Człowiek ten miał przywieść rozkaz powrotu dla Amelii z przyczyny, że hrabina bardzo słaba.

— Poźniej opowiem powody dla których tak działam, ale nie trzeba ani słowa mówić o tym Markizowi

Anusia wstała przed świtem, i odważyła się pójść sama do wsi w której była poczta, aby list ten oddać. Przybyła właśnie w chwili przejścia poczty, i widziała sama jak list odszedł... Wszystko szło dobrze.

Wróciwszy do zamku tak że nikt nie postrzegł jej niebytności, Anusia dodała odwagi i nadziei swojej pani: dwa dni przeminęło jak inne. Henryk ciągle prawie był nieprzytomny, i ciągle widziały Amelia i Anusia, te same zgromadzenia, i te same biesiady w wielkiej sali!... Trzeciego dnia zrana zajechał na dziedziniec zamkowy powóz czterma pocztowemi końmi zaprzężony, kamerdyner oddał Amelii list; który zawierał co umowionem było.

— Muszę iechać zaraz! zawołała Amelia. Czytaj! mówiła do męża oddając mu list.

— Nie mogę ci towarzyszyć, ale trzeba jechać, odpowiedział nieszczęśliwy młodzieniec.

I uścisnąwszy żonę wsadził do powozu, polecił ją staraniom kamerdynera hrabiny, i sam obejrzawszy czy było wszystko w powozie, ucałował ją, przyrzekł iż wkrótce się z nią połączy, i sam rozkazał pocztylionom by prędko jechali. Nieszczęśliwy!...

Amelia rozłączając się z nim doznała wrażenia, które jej sprawiło mocne cierpienie. „Cierpię mocno, powtarzała do Anusi". Ale postrach wracał znowu, i wyrzuty sumienia milkły. Przyjechawsz do Paryża, nie mogła się oprzeć naleganiom przybranej matki; i opowiedziała jej co widział, i co słyszała. Przekonały się że Markiz nic nie wiedział; co się tycze Henryka obydwie kobiety w głębokim rozumie nie znalazły go bardzo winnym: w skutku tego ułożyły między sobą, żeby rzecz całą zataić przed Markizem. — Równie jak przed całym swiatem! zawołała Amelia.

Hrabina nic nie odpowiedziała; ale nazajutrz z rana udała się do Fuszeta. „Mój kochany xiąże przychodzę zrobić ci przysługę zupełnie darmo, ale pod jednym warunkiem. — A ten jest? — Zaraz będziesz wiedzieć; tak dobrze prowadzisz swój urząd że jest w jednej części Francii banda ludzi, którzy knują spisek przeciw rządowi, a ty xiążę nic nie wiesz. Jeden z pomiędzy nich obchodzi mnie mocno, i nim cokolwiek odkryję, żądam słowa honoru Francuza i Chrześcianina, że ten będzie miał darowane życie i wolność: jednem słowem zatrzymaj tamtych, a jemu nic nie róbcie; to jasne zdaje mi się.

— Bardzo jasne w rzeczy samej. I gdzież się znajduje ta banda! — Dopóki nie przysiężesz, nic wiedzieć nie będziesz! — Dobrze więc, przystaję! Daje moje słowo honoru Francuza i Chrześcianina, że naczelnik tej bandy będzie miał życie i wolność darowane.

Hrabina uwierzyła w wiarę i patryotyzm Fuszeta, i odkryła!... W miarę, jak jej słowa dochodziły uszów Fuszeta, małe oczy człowieka z wydziału zbawienia publicznego iskrzyły się blaskiem radośnym i krwawym. — Jakoż mi pani robisz przysługę zawołał na koniec, oto już więcej dziesięciu miesięcy, jak szukam śladów tej bandy, którą mi już przed rokiem opisali moi ajenci angielscy, a od sześciu miesięcy donieśli mi już o niej ajencii z Kalwados, przed któremi się ta banda zawsze wymykała. Naczelnik powiadają jest syn człowieka zabitego pod Kiberonem; przysiągł zemścić się za śmierć ojca na tych wszystkich którzy powstali z owych czasów i z rewolucii, a mianowicie zaprzysiągł on śmierć cesarzowi!... i mnie jak mię zapewniono. — Ale gdzież tam, to fałszywe! to niema sensu! wszak to mój synowiec zawołała hrabina, którego powrót wyrobiłeś przed rokiem!.. — Fuszet uderzył się w czoło... Ale przysiągłeś, rzekła hrabina. — Tak, tak odpowiedział Fuszet, jakoż możesz być pani spokojna. — Oddaliła się hrabina powtarzając ciągle, pamiętaj na przysięgę.

W piętnaście dni po tej rozmowie, czytać można było w dziennikach: „Banda powstańców (*Chouans*) wypędzona z Kalwados gdzie mieszała spokojność po drogach i po wsiach, ciągle prawie goniona przez żandarmów, i w chwili gdy już miała być pojmaną, uciekła raptem i schowała się przed władzą. Odkryto ją właśnie, i zniszczono zupełnie z tem wszystkim co do niej należało".

Tego samego dnie odebrała hrabina opieczętowaną posyłkę, w której znajdywało się rządowe poświadczenie o śmierci Henryka C* rozstrzelanego w Kaen dnia... 1809 roku.

Przypisek il Abrantes. Zdarzenie to nie miałoby żadnej wartości, gdyby było zmyślone. Jest ono prawdziwe we wszystkich częściach; to okropne zdarzenie miało miejsce istotnie w roku 1809, i zakończenie jego było takie jak opowiedziałam. Pani C* wyszła powtórnie za mąż.

Bolesta.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. CZCIONKAMI PIOTRA PILLERA.